

**WACŁAW MAKOŚ MIC**



**MÓJ UDZIAŁ  
W PROCESIE BEATYFIKACYJNYM  
O. STANISŁAWA PAPCZYŃSKIEGO**

**MÓJ UDZIAŁ  
W PROCESIE BEATYFIKACYJNYM  
O. STANISŁAWA PAPCZYŃSKIEGO**

**WACŁAW MAKOŚ MIC**

**MÓJ UDZIAŁ  
W PROCESIE BEATYFIKACYJNYM  
O. STANISŁAWA PAPCZYŃSKIEGO**

**Puszcza Mariańska – Stockbridge 2010**

Copyright © 2010 by Curia Generalizia della Congregazione dei Chierici Mariani  
Roma, Italia

Opracowanie redakcyjne  
*Grażyna Michalak (SPM w Polsce)*

Opracowanie techniczne  
*Marina Batiuk (SPM w USA)*

**Na okładce:** Licheń – 16 września 2007 roku:  
uroczystości beatyfikacyjne o. Stanisława Papczyńskiego  
pod przewodnictwem ks. kard. Tarcisio Bertone SDB,  
specjalnego wysłannika papieża Benedykta XVI.

**Świadectwo napisane na prośbę  
przełożonego generalnego  
Zgromadzenia Księży Marianów  
ks. Jana M. Rokosza MIC,  
skierowaną do wszystkich marianów  
po beatyfikacji o. Stanisława Papczyńskiego.**

Wydano staraniem  
wicepostulatora mariańskich spraw kanonizacyjnych  
w Ameryce Północnej i Azji.

Nakład: 150 egz.

*Ad usum sodalium. Cum permissu superiorum.*

**ISBN 978-1-59614-224-4**

Printed in the United States of America by *Marian Press*

**W** swoim świadectwie będę się starał wyjaśnić, dlaczego i w jaki sposób bez oficjalnego tytułu (postulator, wicepostulator itd.) włączyłem się w prace zmierzające do beatyfikacji o. Stanisława Papczyńskiego i co z tego wynikało. Chciałbym jednak przed zasadniczą wypowiedzią podnieść kilka spraw.

Najpierw chcę zapewnić, że będę się starał ukazać swój wkład w taki sposób, by nie było niedomówień, przez które mogłaby się otworzyć droga do jakichś błędnych interpretacji czy legendy. Dlatego będę się trzymał faktów i dokumentów, i w miarę możliwości również chronologii wydarzeń, by nie pozostawić miejsca na jakieś domysły, podtekst polityczny czy założenia ideologiczne, nie liczące się z rzeczywistością. Rozumiem bowiem, że pisząc to świadectwo bez należytej rozwagi i respektowania realiów, sam łatwo mógłbym się stać winnym zniekształcania historii swoich inicjatyw i prac, które podejmowałem podczas toczącego się procesu. Obecnie tym bardziej powinienem to brać pod uwagę, ponieważ znajdujemy się w okresie pobeatyfikacyjnym, w którym wciąż panuje atmosfera pewnej euforii. Wielu jest takich, którzy z przesadą kierują swoją uwagę i wdzięczność ku osobom zaangażowanym do pracy na ostatnim etapie sprawy o. Stanisława.

Dlatego często, choćby z okazji składania gratulacji „zasłużonemu szczęściarzowi”, pojawiała się tendencja przypisywania mu wyjątkowego geniuszu, sprytu czy też nadzwyczajnego przygotowania naukowego (historyczno-teologicznego). Bywali tacy, którzy składając mi gratulacje, w ten lub podobny sposób formułowali swoje zdanie: „Nareszcie znalazł się ktoś mądry, obdarzony zmysłem praktycznym, kto skutecznie potrafił całą sprawę doprowadzić do pomyślnego końca”. Łatwo więc można by ulec takim sugestiom, miłym dla ucha i odpowiadającym słabej naturze ludzkiej. Gdyby jednak – ze względu na swoje jakkolwiek mierne przygotowanie, ale idący za tym jakiś rzeczywisty skromny wkład – otworzyć się na wypowiedane hasła i przypisać sobie i swojej pracy więcej niż należy, a może nawet decydującą zasługę beatyfikacji, byłoby to nieuczciwe i dla wszystkich szkodliwe, ponieważ sprzeciwiałoby się prawdzie.

Bo prawda w rzeczywistości jest taka, że wkład ludzki, aczkolwiek konieczny, był jednak nikły. Polegał na przyjęciu i przekazywaniu tego, co Pan Bóg zechciał nam podarować. Nie ma więc powodu mówić o nadzwyczajnej wielkości zasług człowieka i koncentrować na nim swojej uwagi. Gdy chodzi o beatyfikacje i kanonizacje, to faktycznie sam Bóg decyduje o tym, kto i kiedy ma być wyniesiony na ołtarze. Pan Bóg jest tym, który dzieło swe kiedy zechce, rozpoczyna i w przewidzianym przez siebie czasie doprowadza do końca. Zarówno bowiem u początków procesu beatyfikacyjnego znajduje się Jego wola (a nie tylko decyzja ludzka, wyrachowanie czy konwencji), jak i na końcu, po ogłoszeniu aktu heroicznego cnót. Potrzebna bowiem do rozpoczęcia sprawy sława kandydata, jako człowieka świętobliwego, a nawet cudotwórcy, czy proroka, powstaje nie tyle na skutek starań jego samego, ale dzięki udzielonym mu przez Boga łaskom i charyzmatom. Również wymagany cud, jako ostateczny warunek beatyfikacji, z całą oczywistością może się dokonać tylko mocą Bożą. Bogu więc należy się za wszystko uznanie, cześć, chwała i dziękczynienie.

Bóg powołuje do współpracy w prowadzeniu sprawy konkretnych ludzi i wspierając ich światłem łaski i swoją mocą, doprowadza kandydata na ołtarze do beatyfikacji. On jest tym, który przez beatyfikacje i kanonizacje wiernych sług i służebnic okazuje swoją chwałę „w swoich aniołach i swoich świętych”. Nauczycielski Urząd Kościoła (jako gwarant rzetelności dochodzeń w danej sprawie) i wszyscy, których angażuje do współpracy, są tylko narzędziami i aktorami w ręku Boga. On jest wszechmocny, nieomylny i wieczny, i na Nim jak na skale opierają się gwarancje potrzebne przy wynoszeniu na ołtarze świętych. Podobnie jest zresztą z powstawaniem nowych zakonów, które nie mogą się pojawiać, trwać i działać jedynie na mocy znikomego autorytetu ludzkiego, ale ich powstawanie i istnienie ma swe źródło i oparcie w tej samej wiecznej „Skale”, w Bogu. Dlatego o. Stanisław w taki sposób pisze o powstaniu Zgromadzenia Księży Marianów i o swojej w tym roli: „Boska dobroć i mądrość co zechce, to zaczyna i tego dokonuje, mimo choćby setek trudności, a nawet niemożliwości – według ludzkiej opinii – z powodu braku środków. Dla Wszechmocnego nie ma bowiem nic niemożliwego. Okazało się to bardzo jasno na mnie, najbardziej mizernym grzeszniku, narzędziu bardzo nędznym, lichym i niezdatnym do zakładania ostatniego i najmniejszego Zgromadzenia Księży

Najświętszej Maryi Panny bez zmyy Poczętej. Umysł niedorastający do zadania, żadnej cnoty, skąpa roztropność, wszystkiego o wiele za mało do podjęcia się tak poważnego zadania, o którym mogłem raczej marzyć, niż je przedsięwziąć. Lecz sam Bóg (Bóg, któremu niech będzie wieczna chwała i podzięka), jak mnie do tego dzieła pobudził, tak go sam dokonał i doprowadzi poprzez wieki do końca” (*Prot. Ordinis, Origo foundationis*, s. 16; tłum. własne – W.M.).

Można dodatkowo powiedzieć, że w naszych czasach, w objawieniach prywatnych, Pan Jezus i Jego Najświętsza Matka wiele razy powtarzali tę samą zasadę, i to nawet wybitnym mistykom (św. Maria Małgorzata Alacoque, s. Józefa Menendez, św. s. Faustyna, o. Gobi). Często też, po prostu, objawiali ważne sprawy przez dzieci i prostych ludzi, którzy nie mogli się legitymować nadzwyczajnym geniuszem czy wysoką nabytą wiedzą. Jeśli więc Bóg dla okazania swojej chwały posługuje się kimś, to zasadniczo nie z powodu jego doskonałości i świętości, ale dlatego, że w danej sprawie chce go użyć jako narzędzia, a ten otrzymując w określonym celu łaskę Bożą, przejawia gotowość do pracy, dyspozycyjność i pokorę, dzięki której raczej nie wchodzi w rachubę obawa, że będzie usiłował sobie przywłaszczyć miejsce i rolę Boga. Na tle ludzkich słabości i niemożności o wiele lepiej dostrzega się działanie Boga i łatwiej jest wtedy oddawać Mu należną chwałę.

Kiedy jednak o tej prawdzie szczerze się mówi i utrzymuje, że Pan Bóg decydował także o sprawie o. Papczyńskiego, że dobierał sobie według swego upodobania narzędzi i zechciał za naszego życia doprowadzić ją do pomyślnego końca, to i tutaj zaraz pojawia się tendencja, by większą uwagę zwrócić na te ludzkie narzędzia. Łatwo uważa się jakiegoś rzucającego się w oczy pracownika lub kogoś, kto w intencji beatyfikacji gorliwiej się modlił, za człowieka wyjątkowego, wybranego spośród najlepszych, mającego nadzwyczajny autorytet u Boga i ludzi, za świętego mistyka. Ci, którzy by tak myśleli, nie powinni jednak zapominać o wypowiedzi św. Pawła, który nawet o apostołach mówi, że do realizacji swoich planów, „Bóg wybrał właśnie to, co głupie w oczach świata, aby zawstydzić mędrców, wybrał to, co niemocne, aby mocnych poniżyć; i to, co nie jest szlachetnie urodzone według świata i wzgardzone, i to, co nie jest, wyróżnił Bóg, by to, co jest, unicestwić, tak by się żadne stworzenie nie chełpiło wobec Boga. Przez Niego bowiem jesteście w Chrystusie

Jezusie, który stał się dla nas mądrością od Boga i sprawiedliwością, i uświęceniem, i odkupieniem, aby, jak to jest napisane, w Panu się chlubił ten, kto się chlubi” (1 Kor 1,27-29).

W składanych mi gratulacjach z okazji beatyfikacji i w podziękowaniach za położone zasługi, Współbracia i Przyjaciele często zwracali się w duchu omówionych tendencji. Nie pomagało przypomnienie, że Pan Bóg może do realizacji swoich celów użyć nawet przysłowiowej oślicy Balaama. Nie dla pseudopokory czy zwyczajowej formalności, do znużenia jednak powtarzałem i będę powtarzał, że wszyscy bez wyjątku winniśmy dziękować za beatyfikację nie tyle ludziom, ile Panu Bogu, bo On jest jej autorem i sprawcą. To On w swoich odwiecznych planach zdecydował, że będzie Zgromadzenie Księży Marianów jako narzędzie uświęcania i zbawiania ludzi, i że dla Jego chwały, honoru Niepokalanej Maryi Panny i pożytku wiernych niektórzy zostaną wyniesieni na ołtarze, a wśród nich przede wszystkim sam Ojciec Założyciel. Cieszymy się więc i radujmy ze wspaniałych darów Bożych; dziękujmy za nie i oddajmy chwałę Bogu! To jest bowiem istotna i największa przyczyna naszego optymizmu!

Świadectwo, które napiszę, będzie tylko jedną więcej ilustracją takiego Bożego działania w sprawie o. Stanisława. Tylko w takim duchu (jak wyżej powiedziałem), każdy z nas, kto w jakiś sposób wniósł w omawiane dzieło beatyfikacji swoją część, bez obawy uwikłania się w jakiś fałsz, może bezpiecznie wypowiadać się o swoim wkładzie, skądinąd przez Boga przewidzianym, i odpowiednio do tego mówić o zasługach. Mogą to czynić zarówno ci, którzy bezpośrednio uczestniczyli w pracach procesu, jak i ci, którzy jedynie przez modlitwy i ofiary zabiegali o wyniesienie o. Stanisława na ołtarze. Tylko Pan Bóg, który zna nas wszystkich i na wskroś przenika nasze serca, może sprawiedliwie osądzić, kto z zaangażowanych więcej przyczynił się do beatyfikacji, a kto mniej. Dlatego najlepiej będzie Jemu samemu pozostawiać sąd o zasłużonych i o wielkości ich zasług.

Mając jakiś udział w końcowej fazie procesu beatyfikacyjnego o. Stanisława, nie można bowiem tracić z oczu wszystkich innych, którzy już przed nami lub współcześnie obok nas nad tą sprawą się trudzili, choć może nie towarzyszyły im jakieś widoczne rezultaty. Nie możemy bowiem zapominać, że od początku starań o beatyfika-



cję w XVIII w., aż do naszych czasów, wielu brało udział czy to w samym procesie, czy też w modlitwach o wyniesienie o. Stanisława na ołtarze. Gdyby ci najdawniejsi, pobudzeni kiedyś i podtrzymywani przez Boga, nie odpowiedzieli na Jego łaskę, gdyby nie rozpoczęli procesu i z determinacją go nie prowadzili, a przy tym nie zanosili modlitw o beatyfikację i o cuda za przyczyną o. Papczyńskiego, to dzisiaj nie mielibyśmy o czym mówić.

Powinniśmy więc w sposób szczególny pamiętać o najbardziej zasłużonym na początku o. K. Wyszyńskim, a następnie o jego współpracownikach, jak adwokat L. Alegiani, ekspert – o. Andrzej Budrioli TJ, a oprócz nich o generałach – o. K. Wetyckim, o. J. Wasilewskim i o. R. Nowickim i o postulatorach – o. L. Zapałkowiczu i o. C. Spournym itd. A potem powinniśmy dostrzec też prace ks. Reklajtisa, ks. J. Vaišnory, ks. J. Bukowicza oraz olbrzymi wkład pracy ks. K. Krzyżanowskiego, a nawet docenić rady o. M. Machejka OCD. A przecież trzeba by wspomnieć jeszcze i o tych naszych współbraciach, którzy stosunkowo niedawno nas pożegnali i będąc w niebie lub czyśćcu, na pewno solidarnie nam towarzyszyli w staraniach i prośbach o beatyfikację. W końcu możemy uwzględnić tych z nas, którzy pracowali na ostatnim etapie, kiedy zostali powołani do przeprowadzenia procesu o cudzie. Ale i tutaj nie powinniśmy zapominać o wyjątkowym znaczeniu listów i starań obecnego Ojca Generała o pomocy o. Bartoszewskiego OFMCap i innych. Wśród nich spodobało się Panu Bogu i przełożonym użyć też – wcześniej jako „autsajdera”, a pod koniec już oficjalnie jako wicepostulatora – autora niniejszego świadectwa.

Dlatego po dokonanej w Licheniu beatyfikacji, kiedy od władz miejscowych w Puszczy Mariańskiej otrzymywaliśmy z ks. J. Bukowiczem listy gratulacyjne, uznające nasze prace i zasługi dla beatyfikacji, z serca im podziękowaliśmy, dodając jednak, że te wyrazy uznania przyjmujemy w imieniu wszystkich, którzy nas poprzedzili w przygotowywaniu i prowadzeniu procesu o. Stanisława, poczynając od o. K. Wyszyńskiego, a kończąc na ks. Krzyżanowskim, i że czujemy się ich przedstawicielami.

Przechodząc do samego świadectwa, zaraz na początku chcę wyznać, że w określonym momencie (w niedługim czasie po nawiedzeniu Ziemi Świętej z o. generałem Donaldem Petraitisem w 1986 r.) Pan Bóg udzielił mi bezcennej łaski oświecenia,

potrzebnego dla toczącej się sprawy o. Papczyńskiego, które – jak potrafiłem – starałem się wykorzystać. Dał mi też jednocześnie wewnętrzne przekonanie, że nie powinienem poznać spraw o o. Papczyńskim i charyzmacie Zgromadzenia „ukrywać pod korcem.” Aby rzecz stała się dla czytelnika bardziej zrozumiała, chciałbym jednak najpierw wskazać na dwie serie wcześniejszych faktów ze swego życia, które znalazły się w tle wydarzenia.

Po pierwsze, kiedy jako kleryk myślałem o potrzebie specjalistycznego przygotowania się do przyszłej pracy w Zgromadzeniu, pytałem znajomego mnie dobrze jeszcze z Grudziądza o. Perza, rektora wyższego seminarium, jaką pracę dla mnie przewidują przełożeni w przyszłości. Otrzymałem odpowiedź, że najprawdopodobniej zostanę zaangażowany do pracy formacyjnej, wychowawczej. Stało się to powodem, że dość wcześnie dostrzegałem potrzebę poznawania historii Zgromadzenia i naszego Założyciela, jak również mariańskiego charyzmatu. Życie potwierdziło przewidywania o. Perza. Nie licząc krótkich okresów katechizacji dzieci w Skórcu czy młodzieży szkół średnich i zawodowych w Grudziądzu, pełniłem najpierw przez rok funkcję wychowawcy jednej z klas juvenackich na Bielanach i potem też przez rok obowiązki prefekta scholastykatu na Wileńskiej. Wreszcie po trzyletniej pracy duszpasterskiej w Grudziądzu i po studiach teologii dogmatycznej (mariologia) na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim przez kilkanaście lat spełniałem w Lublinie obowiązki przełożonego mariańskiego księży studentów KUL i kleryków dochodzących na wykłady do Wyższego Seminarium Diecezjalnego. Razem z prefektem dzieliliśmy obowiązki formowania kandydatów do kapłaństwa w Zgromadzeniu, przychodzących na 2 lata do Lublina, zanim jeszcze bywali kierowani do nowicjatu w Skórcu; potem wracali, by kontynuować swe studia w Lublinie.

Druga sprawa to udział we wszystkich generalnych kapitułach „zakonnej odnowy” i dalszych, poczynając od 1969 aż do 1999 r. Choć już w pracy formacyjnej, zwłaszcza na stanowisku przełożonego klerykatu w Lublinie, uświadamiałem sobie potrzebę lepszej znajomości historii i teologii Zgromadzenia, niż ją miałem, to jednak w ogóle poziom ich opracowań naukowych nie był wtedy jeszcze dostateczny. Dlatego nie byłem w stanie poznać wielu rzeczy o Ojcu Założycielu i Zgromadzeniu. W szczególności nie były do końca dla

mnie (i dla innych) zrozumiałe wydarzenia i problemy o. Stanisława u pijarów.

Impulsem do głębszych studiów i stworzenia lepszych opracowań stała się po Soborze Watykańskim II, Kapituła Specjalna w 1969 i 1970 r. mająca za zadanie zajęcie się „przystosowaną odnową”, do której Kościół zobowiązał wszystkie zakony. Po tej „specjalnej”, następne nasze kapituły kontynuowały rozpoczęte prace nad mariańskimi Konstytucjami i Dyrektorium, aż do ich zakończenia w 1987 r. Brałem w nich wszystkich aktywny udział.

W Prowincji Polskiej Zgromadzenia w ramach komisji formacyjnej sprawę przygotowań do Kapituły Specjalnej potraktowaliśmy bardzo poważnie, za czym poszły staranniejsze studia i badania historyczno-teologiczne naszego prawa i życia zakonnego. Ci, którzy w efekcie mieli za sobą poważniejsze osiągnięcia, zwłaszcza pełniący wówczas funkcje formacyjne (magistra nowicjatu, przełożonego klerykatu) i inni, naukowo lepiej przygotowani do pracy nad Konstytucjami, zostali przez zarząd generalny zaproszeni jako eksperci na Kapitułę Specjalną w 1969 r. O ile dobrze pamiętam, zaraz na pierwszej sesji, kapituła udzieliła im takich samych uprawnień, jakie posiadali zwyczajni członkowie zasiadający w niej na podstawie Konstytucji (z urzędu lub z wyboru).

Należąc do grupy ekspertów, brałem bardzo czynny udział w pracach pierwszej komisji kapitulnej, której przedmiotem była natura Zgromadzenia i apostołat. Na posiedzeniach komisji i sesjach ogólnych doświadczyliśmy męczących dyskusji, u których podłoża znajdowały się założenia ideologiczne, a niekiedy nawet podtekst polityczny. Często licytowano się, który z wybitnych ojców Zgromadzenia jest na dziś ważniejszy? Wysuwano absurdalne hipotezy, mówiące np. o dwóch inspiracjach i dwóch założycielach (o. Papczyński i o. Matulewicz) albo o założycielu o. Papczyńskim i współzałożycielu o. Matulewiczu. Wreszcie osiągnięto kompromis i uchwalono regułę, że o. Matulewicz może być przyrównany do założyciela – o. Papczyńskiego. W istocie starano się usprawiedliwić przyjętą zasadę tym, że dawni marianie byli z natury zakonem ścisłym, klauzurowym, nie prowadzili parafii, szkół i nie bardzo byli otwarci na duszpasterstwo; że praktycznie z konstytucji dawnego zakonu, w nowych prawie nic nie pozostało itd. Przyniesione racje na ogół nie były jednak

prawdziwe, bo nie były owocem rzetelnych badań. Czerpano je z obiegowych opinii oraz aplikowano argumenty iluzoryczne, bo faktycznie nie znano rzeczywistego charakteru dawnego zakonu marianów i jego stanu sprzed kasaty. U niektórych ojców kapitulnych, mniej wrażliwych na nauczanie zakończonego już Soboru Watykańskiego II, dostrzegało się ponadto tendencje zmierzające do likwidacji takich elementów charyzmatycznych, jak maryjność i eschatyczność i sprowadzenia ich do zwykłej pobożności praktykowanej w Kościele, a nawet do uznania ich za już przedawnione.

Były to niebezpieczne i smutne tendencje, grożące rozbiciem Zgromadzenia, a może nawet jego zniszczeniem. Na szczęście na jedną z sesji kapitulnych zaproszono z Watykanu o. Elio Gambariego, eksperta od spraw zakonnych, którego wyjaśnienia zażegnały rodzący się kryzys i odsunęły groźne tendencje wiodące do rozbitcia. W najbardziej istotnej sprawie orzekł on, że nie można mówić o dwóch inspiracjach i dwóch założycielach, skoro historycznie istnieje nieprzerwanie jeden i ten sam zakon. Źródłem inspiracji i charyzmatu zakonnego nie jest ani Papczyński, ani Matulewicz, ale Duch Święty, który jest zasadą jedności i od początku działał w Założycielu Zgromadzenia i później w jego Odnowicielu, a także w innych członkach, którzy pojawiali się w historii Zgromadzenia.

Chociaż pomoc watykańskiego eksperta okazała się cenna i Zgromadzenie uniknęło najgorszego, tzn. jakiegś pseudoreformy czy rozbitcia, to jednak nie zniwelowała wszystkich trudności. Na następnych kapitułach, a także w różnych publikowanych artykułach wciąż posługiwano się źle rozumianą i dlatego fatalną, dychotomiczną formułą: Papczyński to i to, a Matulewicz to. Przyjęta na kapitule i stosowana w praktyce zasada przyrównywania o. Matulewicza do o. Papczyńskiego i odwrotnie, w praktyce źle zaczęła służyć Zgromadzeniu, bo wciąż podtrzymywała tendencje do przeciwstawiania jednego drugiemu, Litwina Polakowi.

Można powiedzieć, że przytaczane za nią argumenty już przy jej ogłaszaniu osłabiała (nieznana jeszcze podczas kapituły) praca napisana przez ks. F. Barteckiego MIC w 1967 r. pt. „Rozwój prawa partykularnego zakonu OO. Marianów w latach 1670-1910”. Autor pokazywał w niej, jak wiele ustaw z dawnego prawa zachował o. Matulewicz w nowych konstytucjach. Jeszcze bardziej podważyła przytaczane racje za omawianą formułą praca doktorska napisana

w 1988 r. w Rzymie przez ks. J. Kosmowskiego MIC, pt. „I Padri Mariani nell'antica Res Publica di Polonia „Rzeczpospolita” dal 1787 al 1864”. Ten bowiem autor wykazał, na podstawie faktów i dokumentów, że marianie już pod koniec XVIII w. prowadzili stosunkowo liczne parafie, bo na 8 domów zakonnych aż 6 parafii. Zakładali też szkoły parafialne. Natomiast mówienie o marianach jako o zakonie ścisłym, klauzurowym, nie duszpasterskim, można byłoby potraktować jako żart, nawet z tego powodu, że od początku sam o. Papczyński prowadził tak czynny apostołat, iż nazywano go „apostołem Mazowsza”. Inni członkowie zakonu też na podstawie Normae vitae i oficjalnie uchwalonych przez kapitułę dekretów (1710 §10; 1712 §1; 1728 §13) mogli duszpasterzować i prowadzić w parafiach misje i rekolekcje, przebywając poza domem początkowo do kilku tygodni, a potem nawet do trzech miesięcy. Działo się tak już za rządów o. Joachima i po nim praktyki te kontynuowano.

Jednak sama szkodliwa reguła ciągłego tendencyjnego przyrównywania jednego ojca do drugiego została w praktyce przezwyższona dopiero przez ks. T. Rogalewskiego MIC w jego pracy habilitacyjnej wydanej w 1997 r. pt. „Teologiczne podstawy życia chrześcijańskiego w nauczaniu Założyciela i Odnowiciela Zgromadzenia Księży Marianów”. W niej konsekwentnie uwzględnił on zasadę podaną przez o. E. Gambariego, że Duch Święty od początku działał w Zgromadzeniu przez o. Papczyńskiego i tak samo później przez innych członków, a zwłaszcza przez o. Matulewicza. W swej pracy ks. Rogalewski słusznie unikał takiego przyrównywania o. Matulewicza do o. Papczyńskiego i odwrotnie, które prowadziłyby do przeciwstawiania jednego drugiemu. Przecież o. Matulewicz był człowiekiem, który ocalił byt zgromadzenia założonego przez o. Papczyńskiego, uratował go przed unicestwieniem, a zatem był nawet więcej niż odnowicielem czy reformatorem. Bo do odnowicieli i reformatorów można by zaliczyć więcej wielkich naszych ojców, jak K. Wyszyńskiego, K. Wetyckiego czy R. Nowickiego, a nawet całą przyszłą posoborową Kapitułę Specjalną z 1969/70 r., natomiast do ocalenia Zgromadzenia, kiedy w Mariampolu pozostał ostatni oficjalny marianin, przyczynił się tylko o. Jerzy Matulewicz. Właśnie pod tym względem słusznie można go przyrównać do Założyciela, bo mając przed sobą wspaniałą karierę naukową, wstąpił do marianów i odszedł z Akademii, by całkowicie poświęcić swe życie ratowaniu Zakonu. To prawda, że o ocaleniu Zakonu mówi już wcześniej

o. Wyszyński – po rozproszeniu rostkowskim – ale nie kryje tego, że wówczas w klasztorach pozostawało jeszcze ośmiu ojców.

Z powodu przedziwnego podobieństwa, a nawet identyczności wielu myśli, idei i samego ducha Zgromadzenia u obu, o. Papczyńskiego i o. Matulewicza, można raczej podziwiać i cieszyć się z działania w nich tego samego Ducha Świętego. Słusznie więc ks. Tadeusz powtarzał, że Ojciec Założyciel tak a tak mówił i to samo lub podobnie wypowiadał o. Matulewicz (mimo że ten drugi nie mógł nawet mieć w ręku niektórych tekstów Założyciela, bo np. *Inspectio cordis* zostało odkryte dopiero w naszych czasach). Jeśli zachodziły między nimi jakieś różnice (każdy z nich posiadał swoje osobiste charyzmaty), to nie były one istotne dla natury czy charyzmatu Zgromadzenia i nie było powodu mówić o nowym zakonie. Nawet elementy samego ściśle określonego charyzmatu zakonnego mogą podczas biegu historii rozwijać się i ubogacać, bo wciąż działa Duch Święty, który ich nie niszczy, nie odsuwa na bok, lecz zachowuje jako istotne.

Zanim jednak praca ks. Rogalewskiego została opublikowana, a nowa zasada szerzej w praktyce przyjęta, ciągle jeszcze ukazywały się artykuły w dawnym stylu. Pamiętam jeden z nich (opublikowany w *Immaculacie* przez W. Łaszewskiego), w którym autor przedstawiał w sposób alegoryczny obraz Zgromadzenia, mającego za zadanie przejść przez most na drugą stronę rzeki. Stwierdzał, że po wejściu na most utknęło ono na środku i nie było w stanie ruszyć dalej i dotrzeć do drugiego brzegu; nie miało nawet nadziei dokonania tego. Po przeczytaniu artykułu bardzo się martwiłem takim stawianiem sprawy. Dostrzegałem bowiem podejmowane wciąż wysiłki młodych marianów zmierzające do określenia zakonnego charyzmatu, który już przecież na ostatnich kapitułach został dostatecznie uświadomiony, określony i zawarty w poprawionych Konstytucjach i Dyrektorium. O nich przecież ekspert watykański od konstytucji zakonnych (o. Francesco Gioia OFM, późniejszy arcybiskup) powiedział do mnie osobiście, kiedy jako wikariusz generalny zastępowałem przebywającego na wizytacji w Australii generała, że przygotowane przez marianów konstytucje „należą do jednych z najlepiej opracowanych”. Zdezorientowani młodzi marianie jednak nie tylko chcieli zrobić to, co już zostało świetnie wykonane, ale usiłowali dokonać też tego, co w praktyce było

niemożliwe z powodu ciągłego stosowania dychotomicznej zasady przeciwstawiania Matulewicza Papczyńskiemu. Ta zasada bowiem niemal z konieczności domagała opowiedzenia się albo za jednym, albo za drugim. Nie tylko niosła ze sobą zmęczenie i napięcia, ale prowadziła do poczucia beznadziejności i sceptycyzmu.

Wtedy to, kiedy po wspomnianej wyżej lekturze bardzo zasmucony siedziałem przy biurku w swoim pokoju w Rzymie, nagle usłyszałem postawione mi głośno pytanie: „Dlaczego o. Papczyński był taki kłótniwy?”. Za tym pytaniem, już w ciszy, popłynęły dalsze: „Dlaczego miał tyle spraw sądowych?”, „Tyle zatargów z pijarami i z sąsiadami?”. Pytania szły coraz dalej. Ale po chwili usłyszałem też i odpowiedź (w postaci retorycznego pytania): „A jeśli za wszelką cenę starał się pełnić wolę Bożą?”. I to pytanie też pociągnęło za sobą następne w formie retorycznej: „A jeśli tak bronił swej zakonnej wspólnoty, jak kochający ojciec broni znajdującej się w śmiertelnym zagrożeniu rodziny?”, „Albo też jak bohaterski żołnierz dla ratowania ojczyzny, tak on był gotów dla ocalenia wspólnoty oddać swoje życie?”, „A czy o. Stanisław nie został oczerniony i jego sława nie została w oczach opinii publicznej przez przeciwników przenicowana?”.

Ciekawe było i to, że retoryczne pytania niosły mi wewnętrzną stuprocentową pewność, iż odpowiedzi, które sugerują, są prawdziwe. Byłem zdumiony i zaskoczony tym, co w tak krótkim momencie się stało. Tym bardziej, że po chwili zdałem sobie sprawę, iż otrzymałem klucze do wielu zagadek i trudnych problemów dotyczących o. Papczyńskiego i Zgromadzenia. Stała przede mną otwarta droga do ich rozumienia. Pamiętam, że kiedy przeszedłem do drugiego pokoju i tam stałem, reflektując jeszcze przeżyte doświadczenie, nie mogłem pojąć, co mi się zdarzyło. Nie wiedziałem, że można w jednym momencie tak wiele zobaczyć i zrozumieć, iż nawet nie jest się w stanie tego ogarnąć. Myślałem sobie, że aby w jakiejś mierze oddać to, co w tak skondensowany sposób otrzymałem, będę musiał chyba napisać dużą księgę.

Toteż ponaglany później przez swojego ojca duchownego, rzeczywiście zabrałem się do pisania. Zacząłem najpierw od artykułu: „My co łaską niezrównaną Marianów nosim miano”, którego jednak nie opublikowałem. W dalszym ciągu w postaci artykułów opracowywałem jedno po drugim kolejne zagadnienia i publikowałem je

domowym sposobem w postaci zeszytów (najpierw jako maszynopisy, a potem jako wydruki komputerowe). Zebrane po jakimś czasie zeszyty złożyły się na całą książkę: *O. Stanisław od Jezusa Maryi Papczyński. Badania i refleksje*, wydana w Warszawie w 1998 r.

Chociaż nie miałem wątpliwości, że usłyszane na jawie pytania, przez kogoś zostały do mnie rzeczywiście skierowane, a odpowiedzi na nie też zaraz realnie mi przekazane, ale uważałem, że przy tego rodzaju doświadczeniach trzeba trzymać się zasad przewidzianych przez mistrzów życia duchowego. Uznałem więc, że w tak ważnej sprawie Założyciela i Zgromadzenia Marianów powinienem o wszystkim informować nie tylko swego kierownika duchowego, lecz także ojca generała i przełożonego domu. Tak też w praktyce postąpiłem i nadal tej zasady się trzymałem.

Ponadto, choć byłem o wszystkim wewnątrznie przekonany, ale dla upewnienia się, że przeżyte doświadczenie nie miało tylko subiektywnego charakteru, że odpowiedzi nie są złudne, fałszywe i nieobiektywne, uważałem, iż trzeba będzie ich treść sprawdzić w dokumentach źródłowych. Najpierw jednak udałem się do ks. K. Krzyżanowskiego, który przecież zebrał w Positio wiele potrzebnych dla procesu dokumentów, niejednokrotnie miał je w rękę i czytał. Nic nie mówiąc o swoim doświadczeniu, zadałem mu to samo pytanie: „Dlaczego o. Papczyński był taki kłótniwy?” itd. Ksiądz Kazimierz chwilę pomyślał i dał mi bardzo krótką, lakoniczną odpowiedź: „Nie wiem!”. Przeżyłem z tego powodu lekki szok, bo odpowiedź była dla mnie nieoczekiwana. Trudno mi było w pierwszym momencie pojąć, jak ten, który zabiega o wyniesienie na ołtarze o. Stanisława, może nie znać odpowiedzi na pytanie, za którym przecież idą poważne zarzuty o brak świętości. Na jakiej więc opiera się podstawie, starając się o beatyfikację? Nie musimy się jednak zbytnio dziwić tej niewiedzy, bo w XVIII w. również na takie pytania nie znaleziono odpowiedzi.

Po naszym krótkim spotkaniu i po refleksji zacząłem jednak z kolei podziwiać pokorę ks. Kazimierza, który nie starał się uciekać do żadnych pokrętnych wyjaśnień, wybiegów i niejasnych odpowiedzi, ale z prostotą powiedział tak, jak jest. Że chodziło o autentyczną pokorę (podkreślam, że nie uciekam się tutaj do kurtuazyjnej przesadnej grzeczności!), okazało się to po niedługim czasie, kiedy bez żadnego oficjalnego tytułu ks. Kazimierz praktycznie włączył mnie



w prace toczącego się procesu i dzięki temu umożliwił przekazywanie tego, co w opisanym wyżej wydarzeniu otrzymałem.

Jednak od razu nie chciałem się przed ks. Kazimierzem zdradzać ze swego doświadczenia, bo uważałem, że nie czas „chwalić się” znajomością odpowiedzi na stawiane pytanie. Ta bowiem została mi dana bez obiektywnych poszukiwań i dlatego wymagała jeszcze sprawdzenia i doprecyzowania na podstawie dokumentów (o swym doświadczeniu opowiedziałem ks. Kazimierzowi po dłuższym czasie, dopiero podczas spaceru na placu przed kapliczką objawień w Fatimie, kiedy w 1990 r. byliśmy tam na Konwencji Generalnym). Innym współbraciom też chwilowo nie chciałem wyjawiać znanej mi odpowiedzi, bo musiałbym powoływać się na swoje prywatne oświecenie, narażając się może tylko na śmiech. Uważałem, że odpowiedź powinna być uzasadniona dokumentami, a nie moim prywatnym oświeceniem, które choć nawet nie musiało być złudą, ale też nie musiało być przez innych przyjęte z wiarą. Dlatego postanowiłem najpierw zweryfikować wszystko ze źródłami, żeby móc dysponować argumentami obiektywnymi, sprawdzalnymi.

Ze wspomnianych wcześniej badań znałem już dokument napisany po łacinie, mówiący o pierwszej mariańskiej fundacji. Po przeczytaniu go, teraz uważniej już w nowym świetle, w pełni stanęła mi przed oczyma jasna wypowiedź o Stanisława (zacytowana już wyżej), mówiąca o tym, że założycielem Zgromadzenia jest sam Pan Bóg. Zauważyłem również, że o. Stanisław jednoznacznie powołuje się na fakt wyciśnięcia w swoim sercu obrazu Zakonu Marianów przez Ducha Świętego. Pisze o tym z okazji podejmowania w Lubo- czy kroków zmierzających do fundacji pierwszego domu zakonnego. Mówi także o odsunięciu na bok interesujących intratnych propozycji bp. J. Gębickiego, wyjawiając tym samym cenę, jaką płacił, żeby odpowiedzieć na wolę Bożą powołującą go do założenia nowego zakonu. Decydował się za wszelką cenę tę wolę wypełnić.

O zasadach służących w retoryce do przeniecowania czyjejś opinii z dobrej na złą też cokolwiek pobieżnie wiedziałem z *Prodromusa* o. Papczyńskiego. Wiedziałem także z wcześniejszych badań, że o. K. Wyszynski bardzo usilnie nalegał na rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego o. Stanisława, i dlatego przyszła mi myśl, żeby zobaczyć, co mówi ten, który przecież znał poważne zarzuty wysuwane wtedy przeciw o. Papczyńskiemu, a pomimo to tak bardzo był

przekonany o jego świętości, że z płaczem nalegał na niezwłoczne rozpoczęcie procesu. Zacząłem więc czytać „Dziennik czynności” o. Kazimierza i wkrótce natrafiłem niemal na taką samą odpowiedź, jaką otrzymałem w przeżyтым swoim doświadczeniu. Tutaj została ona zawarta w postaci wskazówek dawanych przez o. Kazimierza postulatorowi, które dotyczyły badania świadków. Jego trzykrotną wypowiedź w sprawie wyboru świadków i ich przygotowania do zeznań w procesie można by streścić tak:

Świadek, który nie jest uczciwy, ma złą wolę, kieruje się do kandydata na ołtarze niechęcią i uprzedzeniami, powinien być wykluczony od zeznań, bo nie będzie mówił obiektywnie, zgodnie z prawdą, lecz tendencyjnie. Ale może też być inny świadek, nie mający specjalnych założeń i uprzedzeń, lecz przemądrzały prostak, który wszystko będzie po swojemu interpretował. Gdy będzie się wypowiadał na temat człowieka umartwionego, powstrzymującego się od pokarmu i napoju, praktykującego posty, to będzie tłumaczył, że był to skąpiec, który nawet samemu sobie żałował; albo, że to ciu-lacz i dlatego nie jadał posiłków. Jeżeli będzie chodziło o pełniącego dobre uczynki miłosierdzia, to taki prostak będzie utrzymywał, że czynił to dla nagrody sławy itd. Jeśli będzie postępował sprawiedliwie, to taki świadek będzie uważał, że działał w gniewie. Trzeba więc tego rodzaju świadka pouczyć, żeby mówił prawdę, a nie wypowiadał z zarozumiałością swej prymitywnej opinii. A zatem do wytworzenia się złej opinii o o. Papczyńskim nie musiały przyczynić się realne złe fakty. Niechętni przeciwnicy zepsuli mu dobrą opinię, posługując się zasadami retoryki, stosowanymi w mowach oskarżycielskich, a fałszywe interpretacje powtarzane przez mędrkujących prostaków z sąsiedztwa dokonały reszty. Zwłaszcza niechętny o. Stanisławowi o. Kraus, który był zdolnym nauczycielem retoryki, po mistrzowsku potrafił wykorzystać zasady tej dyscypliny i przecnicować jego opinię.

Omówione tu dwie kluczowe sprawy podaję w dużym uproszczeniu i tylko dla zilustrowania metody i podjętych przez siebie kroków w celu sprawdzania wiarygodności tego, co otrzymałem. Nie ma bowiem potrzeby omawiania dalszych spraw wiążących się z usłyszonymi pytaniami, bo te zostały już szczegółowo potraktowane przeze mnie we wspomnianej książce *Badania i refleksje*, a także później krócej jako problemy i zarzuty w dwóch artykułach pt. „Sława świętości o. Stanisława od Jezusa i Maryi Papczyńskiego”, (Puszcza Mari-

ańska 2006/2007) i „Dzieje procesu beatyfikacyjnego o. Stanisława od Jezusa Maryi Papczyńskiego” (Puszcza Mariańska 2007).

Muszę wspomnieć, że dla potrzeb przytoczonej wyżej weryfikacji dużo wysiłku i czasu poświęcałem wówczas na odczytywanie z mikrofilmu i z rękopisów ważniejszych dokumentów, jak proces poznański (APS 10; APS 5), życiorys o. Stanisława napisany przez o. Wyszyńskiego (VW), *Inspectio cordis* i inne, a jednocześnie w miarę sił i czasu starałem się tłumaczyć istotniejsze dokumenty lub przynajmniej potrzebne mi fragmenty. Odczytywane teksty z zasady dawałem do sprawdzania ks. Kazimierzowi, a potem udostępniałem je innym.

Rezygnuję z omawiania otrzymywanych dalszych łask, jak choćby światła umożliwiającego mi głębiej zrozumieć wielkość i wspaniałość mariańskiego powołania oraz trudnej do pojęcia i wypowiedzenia miłości Niepokalanej Matki do nas, Jej duchowych synów.

Zobaczmy więc, jak toczył się proces. Już w 1977 r. ks. Krzyżanowski zakończył opracowywanie *Positio*, którą Kongregacja do Spraw Świętych opublikowała. Ta sama kongregacja powołała wkrótce ekspertów historyków do oceny dokumentów przygotowanych w *Positio*. Oceny zostały przekazane Relatorowi Generalnemu 23 listopada 1977 r. i opublikowane w 1978 r. Choć na postawione cztery pytania większość odpowiedzi konsultorów była pozytywna, jednak ci, którzy oddali swe głosy negatywne, wysunęli bardzo poważne zastrzeżenia i zarzuty. Chodziło zwłaszcza o te same, które postawiono jeszcze w XVIII w., a nie doczekały się przekonujących wyjaśnień. Na nie to należało znaleźć odpowiedzi, by nie ryzykować przegraniem procesu.

Tymczasem kolejni generałowie, o. J. Sielski, o. F. Grabowski i o. D. Petraitis, zajęci wizytacjami, pracami kapitulnymi, bardzo poważnym remontem budynku domu generalnego i w końcu też przygotowaniem do beatyfikacji Ojca Odnowiciela, nikogo dodatkowo nie zaangażowali do opracowania odpowiedzi na wspomniane zarzuty i zastrzeżenia dotyczące dokumentów i samego o. Papczyńskiego. Chętnie też angażowali ks. Krzyżanowskiego, znajomego kilka języków obcych, do zajęć w sekretariacie generalnym, nie zostawiając mu potrzebnego czasu i możliwości do pracy w postulaturze. W ten sposób mijało już 10 lat, a proces o. Stanisława prawie się nie posuwał.

Mając na uwadze tę sytuację, członkowie Prowincji Polskiej uważali, że trzeba sprawę ruszyć z martwego punktu. Dlatego za czasów prowincjalatu ks. Eugeniusza Delikata najpierw sam prowincjał ze swoją radą dnia 19 grudnia 1986 r. wysłał do Rzymu *Memoriał*. W następnym roku, 11 lutego, znowu członkowie kapituły prowincjalnej skierowali prośbę, podpisaną przez wszystkich członków, do generała i jego rady „o niezwłoczne podjęcie starań w celu przyśpieszenia i pomyślnego zakończenia procesu o. Papczyńskiego”. I jeszcze raz, 16 listopada 1987 r., już po beatyfikacji Ojca Odnowiciela, a podczas kadencji następnego prowincjała – ks. Stanisława Kurlandzkiego, członkowie konwentu prowincjalnego wysłali w tej samej sprawie list zbiorowy, podpisany przez wszystkich przełożonych.

W *Memoriale* ojcowie wyrażali swe przekonanie, że zatrzymanie się procesu nastąpiło z powodu braku potrzebnego do jego prowadzenia eksperta. Dlatego proponowali, by do kontynuowania sprawy zaangażować biegłego adwokata, a jednocześnie dać mu do pomocy ks. Krzyżanowskiego, najlepiej z marianów przygotowanego do tego zadania. Wyrażali przy tym gotowość wysłania kogoś do pomocy zarządowi generalnemu, żeby mógł odciążyć w obowiązkach sekretarza, ks. Krzyżanowskiego, i zostawić mu wolniejszą rękę do pracy w postulaturze.

Generał o. Petraitis zgodził się na propozycje Prowincji Polskiej i z radą podjął decyzję, aby znaleźć i zatrudnić nawet najlepszego adwokata oraz dać mu do współpracy ks. Kazimierza; wydawało się, że uda się zatrudnić bardzo cenionego adwokata Giulio Dantego. Ksiądz Krzyżanowski nawiązał kontakt z owym adwokatem i po wstępnym z nim porozumieniu dostarczył mu dla rozeznania sprawy potrzebnych materiałów. Niestety, po ustalonym czasie, 16 stycznia 1989 r., adwokat zwrócił materiały, a razem z nimi przesłał swoją opinię i decyzję, że sprawa nie rokuje nadziei pozytywnego zakończenia i dlatego on się jej nie podejmuje prowadzić. Pamiętam, że mając za sobą opisane wyżej swoje doświadczenie, bardzo głośno na sesji zaprotestowałem przeciw tak zdecydowanej negatywnej opinii adwokata. Uważałem, że jest ona bardzo subiektywna i nie do przyjęcia. Dla ks. Kazimierza, który już tyle nad sprawą się napracował, stanowisko adwokata było poważnym ciosem.

Pamiętam późniejszą dramatyczną jego wypowiedź, gdy z nim i jego bratem przybyłym do nas w odwiedziny, siedzieliśmy razem

i rozmawialiśmy w moim pokoju. W swej wypowiedzi ks. Kazimierz z emocją mówił nam, że przecież już wszystkie argumenty zawarte w dokumentach wykorzystał, cóż więcej jeszcze może zrobić!?! Bardzo zdecydowanie zareagowałem, zachęcając go do optymizmu. Pewny pomyślnego zakończenia procesu, mówiłem, żeby nie tracił nadziei i nie poddawał się, bo kiedy Pan Bóg chce, aby do beatyfikacji doszło, to przeciw Jego woli nie ma siły.

Pozwalałem sobie też coraz częściej na krytykę zarówno zarzutów wysuwanych przeciw o. Papczyńskiemu przez konsultorów historyków i innych, jak również metody zastosowanej w toczącym się procesie. Swoim krytycznym zdaniem podzieliłem się najpierw z o. M. Machejkiem OCD, a następnie coraz częściej rozmawiałem o wszystkim z ks. Kazimierzem. Tymczasem ks. Kazimierz zdołał już opracować odpowiedzi na zarzuty postawione przez konsultorów historyków. To jego opracowanie zostało wydane w 1990 r. przez Kongregację pt. *Informatio* (356 stron). Mimo wielkiego wysiłku i pracy ks. Kazimierza, a nawet poproszenia o opinię o Papczyńskim zaangażowanego w tym celu psychiatry (prof. Zenomeny Płużek), nie wszystko do końca udało się zadowalająco wyjaśnić. Dlatego ks. Kazimierz z dużym napięciem czekał na kolejną opinię konsultorów teologów.

Od czasu swego doświadczenia stopniowo starałem się szczegółowo i dokładnie weryfikować z dokumentami treści otrzymanych w swoim doświadczeniu odpowiedzi. Chcąc przy tym przeciwstawić się panoszącemu pesymizmowi, o którym już wyżej wspominałem, i raczej zwrócić uwagę na racje skłaniające do wielkiego optymizmu, obrałem sobie za temat werset z mariańskiego hymnu: *My co taską niezrównaną Marianów nosim miano* i zacząłem pisać. Ten artykuł, który z czasem dochodził już prawie do stu stron, wciąż się rozrastał. Dlatego poza udostępnieniem go do oceny ks. Witoldowi Niecieckiemu i otrzymaniu od niego opinii, nie podejmowałem jeszcze dalszych kroków w celu opublikowania go. Zresztą, okazało się wkrótce, że nawet nie było to potrzebne, bo kiedy polecono mi przygotować referat „O charyzmacie Zgromadzenia” na Konwent Generalny w Fatimie w 1990 r., jego znaczną część wykorzystałem do przygotowywanego referatu, a w następnym roku dalszą część włączyłem do nowego artykułu pt. „Kłopoty z Ojcem Papczyńskim” (*Immaculata* nr 315, s. 36-39), który potraktowałem jako „uderzenie

pięścią w stół”, by zwrócić uwagę wszystkich na problemy i zarzuty wysuwane przeciw o. Stanisławowi i zarazem ukazać możliwości ich rozwiązania oraz przewyciężenia.

W niedługim czasie po napisaniu artykułu „Kłopoty z Ojcem Papczyńskim” ks. Krzyżanowski przekazał mi informację, że termin zebrania ekspertów teologów został ustalony na 22 stycznia 1991 r. Wiadomość o tym przepeliła mnie wielką radością. Byłem tak pewny pozytywnego rezultatu zebrania, że nic nie zdołało zamącić mojego optymizmu. Inaczej ten czas oczekiwania przeżywał ks. Kazimierz. Z lękiem i trwogą czekał on na termin i na wyniki głosowania teologów. Oczywiście, wynik głosowania okazał się w większości pozytywny.

W coraz większym angażowaniu się w sprawę procesu nie poprzestawałem na samej krytyce, ale poszukiwałem możliwości rozwiązywania problemów i wyjścia z różnych impasów. Piszę tu i o impasach, ponieważ ks. Kazimierz w swoich komentarzach do dokumentów w *Positio* czasem zbyt łatwo godził się na jakiś zarzut wysuwany przeciw o. Stanisławowi przez krytyków, albo też za pochopnie wysuwał jakąś hipotezę, z którą miał później kłopot, bo nie potwierdzała się, a tylko zaczynała przynosić sprawie szkody. Na skutek tego znalazł się w niezręcznej sytuacji, bo nie wypadało zbyt łatwo co chwila zmieniać zdania. Ja natomiast jako „autsajder” nie byłem w swoich wypowiedziach i argumentacji niczym skrępowany. Dlatego ks. Kazimierz miał możliwość tę sytuację wykorzystać, i rzeczywiście potrafił ją wykorzystać. Przy nadarzających się okazjach swobodnie przekazywał relatorowi generalnemu, o. Ambrożemu Eszerowi OP, zarówno swoje, jak i moje zdanie oraz opinie. Kiedy informowany przez ks. Kazimierza o. Eszer poznał zaistniałą sytuację, wtedy podjął decyzję, aby trzej autorzy opracowali potrzebną problematykę: ks. Krzyżanowski, ja i mons. Nicola Lanzi. Sam zobowiązał się do sporządzenia potem relacji i jej opublikowania.

Wobec tego napisałem po włosku artykuł „Il servo di Dio P. Stanislao Papczyński nella luce delle investigazioni per la beatificazione” („Sługa Boży o. Stanisław Papczyński w świetle badań pod kątem beatyfikacji”). Język włoski pomogły mi ulepszyć siostry karmelitanki, u których odprawiałem codzienną Mszę św., a ks. Kazimierz doręczył artykuł o. Eszerowi. Ten po niedługim czasie oddał tekst z adnotacją na pierwszej stronie: *Molto buono scritto.*

*Dev'essere stampato per gli Em.mi Signori Cardinali. Controllare la grammatica italiana. Roma 19-VI-1991. Ambrogio Eszer. Pieczęć: Ambrosius Eszer OP Relator Generalis Congregationis de Causis Sanctorum* (Bardzo dobre opracowanie. Powinno być wydrukowane dla Ich Eminencji Kardynałów. Sprawdzić gramatykę włoską). Kiedy ks. Kazimierz oddawał mi tekst, powiedziałem mu, że ten artykuł jest jeszcze niewystarczający i że należy dołączyć do niego drugi, mówiący o kryzysie w zakonie pijarów i jego wpływie na ich polską prowincję. Tak też postąpiłem: poprawiłem pierwszy artykuł i dołączyłem do niego drugi, który też został przyjęty przez relatora.

Chcę tu podkreślić, że sam nigdy nie udawałem się w tych sprawach do Kongregacji; wszystko działało się za pośrednictwem ks. Kazimierza. Wyjątek stanowił tylko jeden telefon mons. Lanziego do mnie, w którym ten proponował zmianę pewnego wyrażenia w artykule, na co się chętnie zgodziłem, zostawiając mu w podniesionej sprawie wolną rękę. W praktyce złagodził chyba tylko dwa wyrażenia dotyczące brzydkiej wady sądeckiego nauczyciela.

Jak z dalszego biegu rzeczy wynika, o. Eszer zrezygnował z dokonania streszczenia i kazał opublikować wszystkie trzy artykuły: 1. ks. Kazimierza „Odpowiedzi na zarzuty konsultorów teologów”; 2. mój: „Sługa Boży o. Stanisław Papczyński w świetle badań pod kątem beatyfikacji” (I część o zastosowanej metodzie i wykorzystaniu źródeł, II część o wpływie kryzysu zakonu pijarów na polską prowincję i sprawy o. Papczyńskiego); 3. i mons. Nicola Lanziego: „Sługa Boży o. Stanisław Papczyński i tło historyczne jego życia”. Zostały one wydane przez Kongregację pt. *Explicationes ad adnotationes Congressus peculiaris*, Roma 1991.

Tym, który otrzymał zadanie, żeby 17 marca 1992 r. przedstawić sprawę kardynałom (ponens), był Paulino Limongi, abp Nicei w Hemimonicie. Podczas wcześniejszego spotkania z ks. Krzyżanowskim pytał go w rozmowie o autora drugiego artykułu. Zapewniał przy tym, że zrobi wszystko, żeby sprawa nie napotkała przeszkód. Chociaż konsulta kardynałów nie była publiczna, ale wieści, które jakoś do nas dotarły, mówiły, że sprawa przeszła niemal jednomyślnie. Chyba nie trzeba dodawać, że tym samym droga do ogłoszenia przez Ojca Świętego dokumentu *O heroicznosci cnót*

o. S. Papczyńskiego stanęła otworem. Te nieliczne informacje otrzymywałem wówczas na bieżąco od ks. Kazimierza.

Po zreferowaniu swego udziału w procesie beatyfikacyjnym powinienem chyba jeszcze coś powiedzieć na temat poważniejszych przeszkód i trudności, których nie brakło. Jestem pewny, że ich sprawcą był zły duch, który potrafił działać na różne sposoby.

Najpierw – mogę tak to określić – wściekł się na mnie, kiedy zaczynałem spisywanie z rękopisu do komputera *Inspectio cordis*. Pewnej nocy zbudzony ze snu, przeżyłem jakiś rodzaj ataku na swoje życie, ale gdy otrzymałem pomoc Bożą, już się to więcej nie powtórzyło. Uważam, że sam opis mogę sobie podarować. Osiągnąłem z tego korzyść, bo zrozumiałem, jak wielką wartość ma *Inspectio cordis*, a ponadto od tego czasu pozostała mi już na stałe cenna praktyka codziennego odmawiania aktów wielbienia Pana Boga i chwalenia Go w Jego świętych: Niech będzie Bóg uwielbiony itd. „Niech będzie uwielbiony w swoich aniołach i swoich świętych”.

Kiedy otrzymywałem z Prowincji Polskiej ponagłania, żeby coś pisać pod kątem potrzeb sprawy beatyfikacji, prosiłem o. Prowincjała o przysłanie mi do pomocy brata zakonnego, który mógłby mnie, jako ówczesnego przełożonego Domu rzymskiego odciążyć od takich prac i obowiązków, jak troska o obejście i ogród. Prowincjał po jakimś wahaniu przysłał brata, ale zamiast mieć z niego pomoc pozwalającą mi pisać, otrzymałem dodatkową przeszkodę i straszny ciężar. W rezultacie przeżytych trudności wyniosłem jeszcze silniejsze przekonanie, że szatan bardzo się sprzeciwia mojemu zaangażowaniu do pracy w procesie beatyfikacyjnym o. Stanisława.

Należy tutaj również powiedzieć, że wcześniej przysłany do pomocy ks. Krzyżanowskiemu ks. Władysław też nie odciążył go w pracy sekretarza, ponieważ zaraz po przyjeździe tak poważnie zachorował, że został umieszczony na długi czas w szpitalu, przeszedł operację na sercu, był pielęgnowany, a potem powrócił do Polski. W ten sposób i ks. Krzyżanowskiemu, i przełożonemu domu przybyło wiele dodatkowych zajęć i utrapień, bo przecież trzeba było ratować życie ks. Władysława.

Wspomnę jeszcze o jednej, już ostatniej ważniejszej sprawie. Kiedy napisałem artykuł „Kłopoty z o. Stanisławem Papczyńskim”



i przesłałem polskiemu prowincjałowi, ten, niewątpliwie gorący zwolennik kontynuowania sprawy beatyfikacyjnej o. Papczyńskiego, tak mi odpisał: „Jeżeli masz zamiar pisać dalej w ten sposób, to radzę zrezygnować z tego tematu i zająć się czymś bardziej pożytecznym dla Zgromadzenia, np. opracowaniem maryjnego i eschatycznego charyzmatu Zgromadzenia w ujęciu ściśle teologicznym, nie zaś historycznym”. Dobrze, że w tym przypadku nie musiałem zastosować się do zdania prowincjała, bo o swoich krokach informowałem rzymskich przełożonych, dawałem im do czytania swoje artykuły, a oni mieli inne zdanie. Napisanie teoretycznego traktatu o duchowości takiego kandydata na ołtarze, któremu zarzuca się poważne braki w zakresie duchowości i życia zakonnego, byłoby budowaniem zamku na lodzie. Przecież na tym etapie trzeba było koniecznie najpierw wyjaśnić, jakim faktycznie był o. S. Papczyński. Ciekawe, że uwagi prowincjała jeszcze bardziej upewniły mnie, iż zmierzam słuszną drogą. Byłem bowiem pewny, że jego wypowiedź pojawiła się jako reakcja emocjonalna na moje specjalnie zamierzone „uderzenie pięścią w stół” w sprawie o. Papczyńskiego. Towarzyszyła mu też szlachetna obawa, czy nie poszedłem za daleko w krytyce i oskarżeniach o. Krausa. Znowu intuicyjnie wyczułem tutaj zabiegi złego ducha, który chciał wykorzystać stan emocjonalny, a także dobrą intencję mego przyjaciela dla swojego celu. Nie miałem bowiem wątpliwości, że nie było to przemyślane zdanie prowincjała, a w jego niechęć wobec mnie jako swego przyjaciela nie mogłem uwierzyć.

Dalszy ciąg pracy pod kątem beatyfikacji to przygotowanie procesu dotyczącego cudu za przyczyną o. Stanisława. Ponieważ pracę kontynuowałem oficjalnie jako wicepostulator, nie ma powodów, by jej przebieg szczegółowiej tutaj referować. Może tylko to, że niektórzy współbracia lepiej przygotowani ode mnie i mający większe doświadczenie na polu prac beatyfikacyjnych, krytycznie oceniali moją kandydaturę jako niedoświadczonego na urząd wicepostulatora, ale temu wcale nie zamierzam przeczyć. Jeśli ponadto, nawet publicznie, krytykowali podejmowane przeze mnie kroki zmierzające do przygotowania procesu w sprawie cudu, to w rezultacie nawet lepiej się stało, że tak przełożeni zdecydowali, bo tym wyraźniej można było zobaczyć i większą mieć pewność, że nadzwyczajny cudowny fakt sprawił palec Boży i że do jego uznania nie przyczynił się geniusz czy biegłość człowieka (wicepostulatora).

Od strony ludzkiej to, co należało wykonać, jak zebranie i przekazanie wszystkich dowodów i dokumentów tym, którzy mieli obowiązek wydać swój sąd i ogłosić werdykt, zostało w odpowiednim czasie zrobione. Tym łatwiej to się stało, że nie zabrakło szczególnej dobrej inicjatywy Prowincjała Andrzeja i wspaniałej ofiarnej współpracy Sekretarza prowincjalnego ks. Dariusza oraz br. Mirosława.

Po podjęciu decyzji o beatyfikacji o. Stanisława należało jeszcze wykonać ostatni akt przewidziany przez prawo: otworzyć grobowiec, przeprowadzić weryfikację szczątków kandydata na ołtarze i przygotować do kultu jego relikwie. Nie musimy się dziwić, że atmosfera poprzedzająca ten akt stawiała się bardzo poważna, a wyobraźnia niektórych ojców, zwłaszcza tych, którzy mieli w tej ceremonii uczestniczyć, zaczynała podsuwać najgorsze scenariusze: po 300 latach pewnie zobaczymy tylko garść prochu, a może po tylu historycznych zawieruchach, opuszczeniach i dewastacjach Wieczernika, różnych jego zarządcach, trumna okaże się pusta lub będą w niej szczątki niekompletne. Na pewno nie były to jeszcze wszystkie niepokoje. Na szczęście tylko ludzkie, bo Opatrzność o wszystkim już w początkach przygotowań do procesu pomyślała.

W rezultacie ta ceremonia jak złota klamra zamknęła przygotowania do beatyfikacji o. Stanisława, które – pobudzony przez Boga – rozpoczął 250 lat temu o. Kazimierz Wyszyński. Bez przesady można by powiedzieć, że teraz Bóg pozwolił nam zobaczyć wielki cud, bo po 300 latach, po otwarciu trumny ukazał się oczom obecnych szkielet, a po weryfikacji medycznej stało się jasne, że brak chyba tylko jednej małej kosteczki. Pewnie gorączkowość spowodowana wielością zadań i przygotowań koniecznych do zorganizowania uroczystości beatyfikacyjnych uniemożliwiła nam dłuższe zatrzymanie się nad tym wielkim cudem i w pełni jego docenieniem. Dlatego chciałbym, po opisie swego doświadczenia i udziału w procesie, jeszcze choć na chwilę nad tym się pochylić.

Ktoś mógłby zaproponować i powiedzieć, że to nie cud, bo zwłoki zostały umieszczone w odpowiednich warunkach i dlatego kości się zachowały. Aż przez 300 lat? Przy tym, nie możemy abstrahować od konkretnych warunków i faktów: zwłoki nie zostały zabalsamowane; przy otwieraniu grobu początkowo po 4 latach, a następnie po 20 całe ciało było jeszcze zachowane, choć trumna już zgniła i wszystko brodziło w wodzie. Dopiero później szczątki

znajdujące się w trumnie nie tylko zalała woda, ale zostały zmiażdżone zrujnowaną, przegniłą obudową i trumną oraz zmieszane z błotem. Bo po upływie niemal 40 lat od śmierci o. Stanisława, kiedy o. Kazimierz otrzymał tajemniczy sygnał, wtedy wydobył kości o. Stanisława z błota i umieścił w lepszych warunkach. Tymczasem inne zwłoki, nawet w bardziej sprzyjających warunkach, zaraz cuchną i już po dwudziestu kilku latach ulegają rozkładowi.

Świadek Magnuszewski zeznaje w procesie poznańskim, że już w czasie pogrzebu przy grobie Założyciela został cudownie uzdrowiony br. Narcyz. Liczni świadkowie – można powiedzieć – chórem mówią, że chociaż zwłoki tego czciciela Niepokalanej zostały pochowane pod podłogą kościółka i ani nie zostały przysypane ziemią, ani też zamurowane, a tylko otoczone i nakryte z wierzchu balami, nie wydawały żadnego trupiego odoru.

Po własnym doświadczeniu (analogia) mogę sądzić, że kiedy o. Kazimierz otrzymywał znak i usłyszał w swoim sercu pytanie Założyciela: „A gdzie jest moja trumna?”, wtedy otrzymał też wielkie światło o wyjątkowej jego świętości<sup>1</sup>. To tłumaczy tak wielką gorliwość i naleganie o. Kazimierza o beatyfikację oraz podejmowane przez niego liczne inicjatywy. Opatrzność Boża uświadomiła mu też potrzebę zabezpieczenia cennych szczątków i dlatego z takim staraniem i pietyzmem odszukał, zebrał i zabezpieczył wszystkie kości i kosteczki. Dzięki Bogu więc możemy się teraz cieszyć, że je niemal wszystkie posiadamy. Bakterie powodujące rozkład zwłok nie miały przez jakiś czas mocy nad ciałem bł. Stanisława, a potem przez 300 lat nie zdołały zamienić w proch kości należących do tego wielkiego czciciela Niepokalanej Poczęcia Najświętszej Maryi Panny.

---

<sup>1</sup> Prot. Bals.Vita, s. 95, § 14; por. też DW 2, s. 24/44; Pisma KW, s. 53.

